

Na Olimp z maczugą w garści

(Dokończenie ze strony 4)

zam więc, za jak najbardziej wskazane. A to po to, aby kultura nie została unicestwiona, co należy brać pod uwagę, gdyż niszczone już była (odbudowa trwała zawsze niezmiernie długo). Gdyby tak jednak się stało, co nas, ludzi wówczas czeka? Nicość? Braku kultury nie zastąpi przecież jeszcze większa konsumpcja dóbr materialnych: ile bowiem można zjeść, ile ubrań włożyć na siebie? Chyba, że... Chyba, że nastąpi to, co Sylwester Warzyński tak oto scharakteryzował:

„Postmodernizm proponuje «dionizyjski» taniec, upojenie, oszołomienie chwilą obecną. Stąd karnawalizacja kultury. Człowiekowi dryfującemu po bezkresnym oceanie własnej egzystencji nie pozostaje wszak nic innego jak właśnie «zabawa», «taniec», «muzyka», bez zastanowienia się, co wydarzy się później. Nie ma przecież «później», tak jak i nie ma «wczesniej». Jest tylko boskie «teraz»” (z *Porzuceno Świata*).

Jeśli nic nie jest trwałe, to to, co było wczoraj, może być dziś czymkolwiek zastąpione, a dzisiejsze czymś kolejnym jutro itd., itp.

Rzecz jednak w tym, że Wystan Hugh Auden konsumpcjonizm widział także w obrębie kultury, a mówiąc dokładniej, tego, co ją przypomina. W eseju *Kultura i rozrywka* tak bowiem napisał:

„Wszyscy jesteśmy wystawieni na pokusę czytania więcej poezji i prozy, oglądania więcej obrazów, słuchania więcej muzyki, niż jesteśmy w stanie przyswoić i wejść z nimi w stosowny dialog. W rezultacie takiego rozpasania nie otrzymujemy człowieka kulturalnego, lecz konsumenta; to, co czyta, na co patrzy, czego słucha, jest przez niego natychmiast zapomniane i zostawia po sobie niewiele więcej wrażenia niż wczorajsza gazeta”.

Niszczenie dotąd istniejącego, a powstałego na drodze ewolucyjnej, kanonu literackiego Zachodu niech posłuży za przykład mającego miejsce, wspomnianego powyżej zjawiska (dotyczącego również rozmaitych przejawów sztuki). Jest on bowiem spektakularny.

Istotne, może wręcz fundamentalne, jest to, że dla niszczycieli owego dotychczasowego kanonu (także kanonów literatury niektórych narodów), włącznie z intensywnymi jego poprawiaczami, nie istnieje taka kategoria, jak przyjemność płynąca z czytania. Nie może być jednak inaczej skoro – jak pisze Harold Bloom w *Zachodnim kanonie* [...] – zdaniem owych niszczycieli „literatura najlepiej wyjaśnia się jako mistyfikacja propagowana przez instytucje burżuazyjne [...]”. W rezultacie czego wiersza „nie można czytać jako wiersza, ponieważ jest on przede wszystkim dokumentem społecznym lub, co rzadkie, lecz możliwe, próbą przezwyłączenia filozofii”.

Konsekwencją chęci destabilizowania czy też wymiany dotychczasowych kanonów jest, na przykład, angażowanie się w reinterpretowanie historii literatury. To zaś skutkuje m. in. poprawianiem podręczników dotyczących tych czy innych literatur narodowych, albo też pisaniem ich od nowa (początki tego zjawiska, i to od razu w drastycznej postaci, sięgają nardzin Rosji Radzieckiej), jak też zmianami na liście szkolnych lektur. Z tym, że nie dotyczy to zmian w ocenie poziomu warsztatu literackiego pisarzy, czy treści estetycznych obecnych w ich utworach. W grę wchodzi przede wszystkim ocena postaw politycznych, jak też obyczajowych reprezentowanych przez autorów, a przez wpływowe gremia uznanych za niewłaściwe. Przykładem takiego twórcy słowa może być Mark Twain (atakowany przez ortodoksyjnych zwolenników poprawności politycznej za konkretne wyrażenia), Ernest Hemingway, któremu zarzuca się męski szowinizm, opiewanie męskiej przyjaźni (to znaczy wykluczającej kobiety), kult siły i propagowanie działań wymierzonych przeciw naturze. W tym ostatnim przypadku chodzi o myślistwo, w znacznie mniejszym stopniu o wędkarstwo, któremu rozlew krwi towarzyszy w zdecydowanie mniejszych ilościach.

W przypadku literatury polskiej nie brakuje podobnych, jak powyższe działań. I miały one miejsce na o wiele większą skalę. Od 1945 r. następowało bowiem stopniowe ograniczanie obecności części książek napisanych w międzywojniu, jak też w okresach wcześniejszych. Po 1950 roku proces ten ogromnie przybrał na sile, aby po kilku latach złagodnieć; ale tylko złagodnieć. W roku 1989 r. nastąpiła kolejna zmiana: pisarze hołubieni przez władców PRL-u znaleźli się na swoich indeksach: stali się niemiłe widziani bądź wręcz niezauważani.

W dewastowaniu kultury, w tej postaci, która wzbogacana kolejnymi warstwami dotarła do naszych czasów, wielkie zasługi mają również feministki, w skrajnych przypadkach będące mizoandryczkami. Dążą one, podobnie jak wspomniani powyżej postmoderniści, do usunięcia tych, których wielkości nikt (dotąd) nie negował. Tak się składa, że w ogromnej wielkości są to mężczyźni pochodzący z Europy, do tego należą do rasy białej. A to już wystarczy, aby w ostatnich dekadach XX w. pojawiły się zarzuty o seksizm i rasizm przejawiany przez tych, którzy owe wielkości wynieśli na piedestał: jakże wielu ich było. Konsekwencją tego są postulaty, aby wiele, jeśli nie większość, z tych wielkości odeszło w niepamięć. Zaś w ich miejsce – pojawiły się kobiety i przedstawiciele innych ras, i innych kontynentów. Przy czym poziom prac będących ich dziełem nie jest pierwszoplanowy schodzi wręcz na plan dalszy. Ważniejsze stają się bowiem inne kwestie. Zwłaszcza te wynikające ze wspomnianej poprawności politycznej, owego kagańca, który – jak bardzo trafnie zauważono – Zachód założył sobie po to, aby na salonach nie mówić tego, o czym mówi się w domach.

Destrukcji kultury, jaką (jeszcze) znamy, dokonują też ci, którzy wierzą w stały rozwój ludzkości (tak, są tacy ludzie i nie jest ich, o dziwo, coraz mniej). Uważają oni, że to, co było kiedyś, siłą rzeczy musi być gorsze od tego, co jest obecnie – nie mówiąc o tym, co będzie jutro; wobec tego zasługuje na zapomnienie. Clive Staples Lewis powyższą naiwną wiarę tak podsumował:

„Ci, którzy wierzą w postęp, trafnie zauważają, że w świecie maszyn nowe modele wypierają stare, ale wyciągają z tego błędny wniosek, iż podobny proces wypierania ma miejsce również w sferze cnoty i mądrości” (z eseju „Dlaczego nie jestem pacyfistą”).

Z tych zmian na listach dotychczasowych wielkości korzystają, na przykład, pisarze, szczególnie pisarki, bardzo współcześni, pozbywający się w ten sposób znacznej części konkurencji. No bo rynek książki jest ograniczony liczbą czytelników, czasem jakimi mogą oni poświęcić na czytanie, zasobnością portfela, a także, o czym w żadnym razie nie można zapominać – ich poziomem intelektualnym. Robi się więc miejsce na półkach księgarskich, jak też bibliotecznych; o domowych nie wspominając, dla przystępnie napisanych nowości. Rzecz sprowadza się więc do ustawicznego Wielkiego Czyszczenia mającego zapewnić miejsce na półkach dla Najświętszych Dzieł. Ale niech ich autorzy i autorki będą świadomi tego, że i one będą tam tylko do pewnego czasu... Uruchomiony mechanizm działa bowiem na prostej zasadzie: ustawicznej wymiany, która nie ma końca (chyba, że ten nadzieje bądź ludzkość, kolejny raz, stwierdzi: nie tędy droga). To dlatego Refik Ličina napisał:

„Są pisarze, którzy w sobotnie południe mają 100.000 czytelników, a w niedzielę o tej samej porze – ani jednego. I nie będą ich mieli już nigdy”.

W takich warunkach istniejący (jeszcze / dotąd) kanon unicestwić można bardzo łatwo, ale bez szans na stworzenie nowego; przede wszystkim ze względu na ilość wymaganych i oczekiwanych zmian, jak też samą liczbę dzieł aspirujących do miana kanonicznych. Może się więc okazać, że najłatwiej – na co historia dostarcza, aż nazbyt wielu przykładów – jest właśnie zniszczyć. Oby jednak tak się nie stało.

Dariusz Pawlicki

